

MAGAZYN

dla fanów FNiN

Numer 1/2013 (6), Polcon 2013

Exemplarz bezcenny

28 sierpnia – 1 września 2013

Drogi czytelniku!

Masz właśnie przed sobą coś wyjątkowego – coś, czego jeszcze nie było! Trzymasz jeden z bezcennych egzemplarzy szóstego już numeru *Magazynu dla Fanów FNiN* i pierwszego, któremu dzięki pomocy nieocenionego wydawnictwa Powergraph pozwolono wyjść z wirtualnego świata i posmakować papierowego wydania podczas tegorocznego Polconu. Mam nadzieję, że przypadnie Ci on do gustu. Żeby to sprawdzić, wystarczy poświęcenie krótkiej chwili – podczas stania w kolejce, w trakcie niezbyt udanej prelekcji czy też wracając z Polconu do domowego łóżka – na przeczytanie tych kilku stron. Na zachętę prezentujemy dwa niepublikowane dotąd fragmenty nadchodzących powieści Rafała Kosika: dwunastej części „Felix,

Neta i Niki” oraz zbliżającej się nieco wolniej nowej książki dla starszych czytelników, „Różańca”. A kiedy już zapoznasz się z nimi (lub też skrętnie je ominiesz nie chcąc nic tracić z późniejszej lektury) nie zapomnij poświęcić kilku minut na spotkanie z tekstami naszych własnych redaktorów. Nie spodziewaj się jednak, że ograniczamy się tylko do tematów felixowych! Tym razem polecamy nietuzinkowe i nieco już zakurzone (lecz wciąż dostępne) lektury, okazuje się też, że za książki można płacić tyle, ile się chce – przynajmniej za niektóre. Pochylamy się też chwilę nad popularnym ostatnio tematem okularów od Google’a i rosnącą popularnością konwentów. A może próbowałeś kiedyś swoich sił w grach RPG? Nie? To mam nadzieję,

że po lekturze artykułu Y-ody poszukasz najbliższej sesji w programie Polconu, bo konwent to idealny moment, żeby spróbować!

Nie ma co dalej reklamować numeru, skoro właśnie go oglądasz – niechaj teksty mówią same za siebie! Miłej lektury, a jeśli chciałbyś coś skomentować – w końcu człowiek uczy się całe życie, więc i konstruktywnej krytyce uwagi nie odmówimy, a słowom drobnej pochwały tym bardziej – albo dowiedzieć się czegoś więcej, zajrzyj na naszą stronę internetową lub napisz na adres mailowy podany na końcu numeru.

kam193

Jak entropia zżera konwentową atmosferę

Bardzo żałuję, że empatyczna pojemność ludzkiego mózgu jest o niebo mniejsza od pojemności hal MTP. A może to tylko złudzenie, a wszystkim winne są odchylenia standardowe? Albo po prostu racjonalizuję swoją społeczną fobię? Wszystko jest tu możliwe. Po kolei.

Lubię konwenty – kojarzą mi się z nerd-przyjazną atmosferą, z pisarzami, znajomymi, prelekcjami i całą tą magiczno-odjechaną otoczką: to jest ludźmi przebranymi za Jedi, Jedi przebranymi za ludzi, et cetera, et cetera. Można spotkać wspaniałe osoby, można z nimi porozmawiać, jakbyśmy byli nie w Polsce, a w Stanach – ot, przystaję i gadamy.

Oczywiście nie jest to żaden nadzwyczajny efekt, ale cecha charakterystyczna każdej grupy. Obojętnie, czy jestem żeglarzem wśród żeglarzy, wspinaczem wśród wspinaczy – jestem „u siebie”. Grupa czuje się

bezpiecznie, więc bez skrupowania jej członkowie mogą wchodzić we wszelkie interakcje.

Odnoszę wrażenie, że istnieje dla grup pewna pojemność graniczna, powyżej której nie umiemy już siebie nawzajem obdarzać zaufaniem. Bardzo wyraźnie widziałem to na ostatnim Pyrkonie – zamiast ludzi nastawionych zawsze przyjaźnie spotykałem raczej takich, jakich spotkałbym na ulicy.

Można ująć to statystycznie – niewielu jest „prawdziwych fanów”, a ja po prostu trafiałem na „casuali”, stanowiących większość. Albo – im większa próba, tym więcej wyników skrajnych, więc i wśród „prawdziwych” zdarzać się musi większa liczba buraków. Takiemu ujęciu nie ufam, a bardziej stawiam właśnie na nasze mózgowo ograniczenie, które nie pozwala na otwartość względem zbyt dużej liczby osób.

Byłem kiedyś w pewnej małej, żeglarskiej wiosce ukrytej w uroczej zatoczce. Atmosfera tam panująca była bardzo do konwentowej podobna, jeśli chodzi o wzajemną życzliwość. Wszystko przepadło, kiedy zaczęły się zawody i do miasta zjechało więcej – prawdziwych przecieź! – żeglarzy.

Czy z tego można wnioskować, że jestem niezadowolony z rosnącej popularności Pyrkonów? Raczej nie, bowiem ta sytuacja ma swoje dobre strony – większa impreza to więcej atrakcji, więcej stoisk, większa promocja fantastyki. Ale czy pozostanie on moim ulubionym konwentem, czy raczej pałeczkę przejmie inne, bardziej kameralne zgromadzenie?

Tak czy inaczej – skoro już wiemy, że taka sytuacja to tylko jakieś idiotyczne, immanentne ograniczenie, może postawimy się je przełamać? Postawienie mi piwa byłoby wspaniałym początkiem.

Vincent

Alter-Nika atakuje

Zapewne pamiętacie wciąż czytanie „Alternautów” i swoją reakcję, kiedy poznaliście wreszcie, po tylu latach oczekiwania prawdziwe imię Niki. Nie wydawało się to trochę dziwne? Ot tak, bez żadnych fanfar, bez wypytywania, poszukiwania... po prostu otwieracie stronę dwieście trzydziestą czwartą, a tam agentka zwraca się do Niki jej „prawdziwym” imieniem, choć jak dotąd miało dziewczyny uchodzić za samobieżne. Na szczęście wśród fanów FNiN znajdują się tacy, którzy nie dadzą się łatwo nabrać: już w dwa dni po premierze książki jednej z użytkowników forum Oficjalnego FanClubu – Bookish’y, udało się ujawnić intrygę. Wydawać by się mogło, że czytając jedną książkę, powinniśmy dowiadywać się tego samego. A jednak, alter-Nika z Warszawy Zachodniej urodziła się jako Weronika, Monika lub Dominika... a nasza bohaterka została starą, dobrą „tylko” Niką.

kam193

Film TMK dostępny online

Film „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”, różnie przyjęty przez publikę i recenzentów, wreszcie został udostępniony w usługach VOD wszystkim tym, którzy nie mieli okazji zobaczyć go w kinie. Jeśli więc ubolewacie nad niemożnością obejrzenia go na wielkim ekranie, macie okazję nadrobić to na własnym monitorze (tudzież telewizorze) – wystarczy, że wykupicie dostęp do filmu w jednej z internetowych bądź połączonych z telewizjami cyfrowymi wypożyczalni. „Felix, Neta i Nika” szukajcie w MMTV, Ipla.tv, Strefie VOD i innych podobnych legalnych usługach. Ceny są przyjazne i zaczynają się od około siedmiu złotych.

kam193

„Felix, Net i Nika” 12 – fragment

– I pomyśleć, że są tacy, którzy narzekają na polską kuchnię. – Niemka sięgnęła po kolejny kawałek pizzy.

– Grunt to dobra pizzeria z dowozem do domu – odparł Gilbert. – To taka nasza specjalność, którą polscy emigranci ze dwieście lat temu zaszczepili w Italii.

– Przyjęto się i tam.

Siedzieli otoczeni poduszkami na zabytkowej kanapie przed niezabytkowym telewizorem wyświetlającym napisy końcowe filmu Kanał.

– Polski kotlet schabowy zawędrował aż do Wiednia – kontynuował Gilbert. – Tam rozklepali go bardziej i nazwali sznycelem po wiedeńsku. Wiesz, dużo tego jest. Jak myślisz, skąd się wzięły frankfurterki?

Dziewczyna zaśmiała się.

„Różaniec” – fragment

Przyjdzie, nie przyjdzie, przyjdzie... Harpad obracał w dłoniach zapalniczkę. Właściwie to mu nie zależało. Dopijał drugą kawę i wyglądał przez okno na słoneczny, ruchliwy chodnik. Może gdzieś tam jest, trzeci raz mija kawiarnię i bije się z myślami. Przyjdzie, nie przyjdzie... Klient, odważny anonimowością sieci, umawia się, ale pęka przed osobistym spotkaniem. To oczywiście naiwność, body-skrecja w internecie jest utudą amatorów. Będą chcieli wysłedzić – wysłedzą każdego. Tajemnica tkwi w szarej nijakości codziennej, nudnej egzystencji. Tak przynajmniej powinno to wyglądać z zewnątrz. Powycierana i wymięta kurtka wojskowa, bezfasonowe spodnie z wieloma kieszeniami i czapka z daszkiem. To ostatnie – by uniknąć wzroku kamer, umieszczanych zwykle pod sufitem. Wybrał miejsce, którego nie widziała żadna.

Dwunasta trzydzieści siedem, prawie kwadrans po czasie. To też się często zdarzało. W zawodzie nuzzlera cierpliwość czasem się przydawała, choć w przypadku Harpada zdecydowanie była to umiejętność nabyta i nie rozciągała się na inne sfery życia. Inne sfery życia w ogóle źle u niego wyglądały. Dobijał czterdziestki i jedyne, czego mu nie brakowało, to pieniądze. Reszta była chaosem. Potrzebował kamuflażu, szarości, by Nadzór nie skupił na nim swojej uwagi. Niestety, każda próba podjęcia stałej pracy na pół etatu kończyła się po miesiącu, dwóch awanturą z szefem. Nikt nie chce pracownika indywidualisty, który zawsze wie lepiej. Brak oficjalnej pracy to był pewien problem, ale lepiej kamuflować już się nie da bez zatracania własnego ja. Sprawy rodzinne wyglądały...

– Pan Harpad? – Nad stolikiem pochylał się drobny mężczyzna o wyglądzie szurka. Łysa czaszka, okrągłe okulary, odstające i lekko szpiczaste uszy jednoznacznie kojarzyły się Harpadowi z gryzoniem. Przybysz na-

– Nie mam pojęcia.

– Jak sama nazwa wskazuje, wymyślili to polscy emigranci we Frankfurcie. Tak samo berlinki i hamburgery. Wymyśliliśmy nawet makaron.

– Makaron też?!

– Oczywiście! Makaron to po włosku pasta. A jak jest pasta po angielsku? Polish.

Michael śmiała się głośno.

– Sushi też powstało tutaj. – Gilbert grzebał w stercie pudełek z filmami. – Początkowo była to po prostu suszona ryba. – Wyjął Listę Schindlera, ale po namyśle odłożył na bok. – E, nie. To też czarno-białe. To co oglądamy następne? O jeden most za daleko, Działo Nawarony czy Pianistę?

nawet skajową teczkę trzymał przed sobą w chudych, ugiętych ramionkach. Bujne wąsy zapewne miały ich właścicielowi rekompensować niedostatki fizyczne.

Harpad gestem wskazał krzesło po drugiej stronie stolika. Tamten posłusznie usiadł, a raczej przycupnął na krawędzi siedziska, i wbił wzrok w blat.

– Żona ostatnio źle się do mnie odnosi – zaczął cichym falsetem. – Coraz gorzej, szczerze mówiąc. Mam złe przecucia. W pracy też beznadziejnie. Myślę, że to, jak mnie traktuje szef, też ma duży wpływ... Wieczorami, leżąc z łóżku, myślę, jak go zabić. To tylko takie myśli. Nie zrobię tego. Jak miałbym...? Wczoraj wydarzyła się przykra sytuacja z sąsiadem –

– Nie musi się pan tłumaczyć. – Harpad przerwał chaotyczną spowiedź. – Nie interesują mnie pana motywy. Pan płaci, ja podaję wartość PZ.

– Tak po prostu? – Szczurek spojrział przełotnie na rozmówcę i uciekł wzrokiem. Zaczynał działać Harpadowi na nerwy.

– Chyba o to panu chodzi?

– Tak, tak... – gorliwie przytaknął przybysz i ponownie zapatrzył się w blat.

Harpad czekał na kolejne pytanie, ale się nie doczekał. Wyjaśnił więc:

– Płaci pan teraz. Odpowiedź dostarczę za piętnaście minut.

– A jeśli pan ucieknie z pieniędzmi? – Szczurek spojrzął na niego z dramatycznym wyrazem twarzy.

– Wówczas będzie to znaczyło, że został pan okradziony – odparł spokojnie Harpad – ale odkąd siedzę w tym interesie, czyli od jakiś dwunastu lat, nigdy tego nie zrobiłem.

Rafał Kosik

Te paskudne Glassy

To jest trochę jak z głosowaniem – decyzja jednostki w ogóle się nie liczy, ale mimo to wypada się do tej urny ruszyć. Tak samo moje podejście do nowej technologii nie zmieni wektorów trendu, co nie znaczy, że mam go w ogóle nie manifestować. Google Glass prędzej czy później wejdą do masowego użycia, a kultura ich użycia ustali się „sama”, obok mnie. Nie będę mógł więc rugać kogoś za noszenie ich na plaży, jeżeli nie będzie na to społeczne przyzwolenie.

Natomiast to, czy zdecyduję się je nosić, czy nie – to już wyłącznie moja sprawa. Mój nos, moja decyzja. Sprawa jest o tyle prosta, że Glassy w zasadzie nie oferują nic nowego. Telefony komórkowe przyniosły nam możliwość komunikacji i nie da się dzisiaj bez nich funkcjonować. Ale nieposiadanie smartfona skutkuje co najwyżej krzywym spojrzeniem z otoczenia (wyciągnij no-

Wołanie z kosmosu

Oto największe odkrycie tego lata – książka bez fabuły. Zaczyna się wstępem nieistniejącego wydawcy, a dalej płynnie przechodzi we wspomnienia nieistniejącego matematyka uczestniczącego w nieistniejącym projekcie. Oto co tygryski lubią najbardziej.

Zabierałem się za tę pozycję już kiedyś, w zamierzcztych czasach, ale odrzuciła mnie wtedy swoją formą – co to ma być? Gość głądzi przez dwieście stron i nikt w międzyczasie do nikogo nie strzela? Otóż, jak się okazało, tego strzelania jest w książce całe mnóstwo, tylko kule nie takie, jak się spodziewamy.

„Głos Pana” trafił w moje ręce nie przypadkiem – dostałem na któreś urodziny, abym jako młody fantasta mógł docenić twórczość największego mistrza – Lema. Nie potrafiłem początkowo, głównie z powodu warstwy... powiedzmy rekwizytowo-językowej. Trzeba przywyknąć, że zamiast komputerów, bohaterowie używają mózgow elektronowych czy maszyn liczących sterowanych pedałami, wypluwających „kilometry taśm” zapisanych wynikami. Teraz wiem jedno – warto podjąć ten trud.

O co chodzi w „Głosie Pana”? Oto na Ziemi odkrywamy ślady transmisji z Kosmosu. Jest to wiadomość, „list”. Nieznany jest Nadawca, nieznana treść,

kię 3310 przy kumplach!). GG będą modne lub nie, ale nie będą wymagane.

I chwała im za to. Dużo się ostatnio pisze o takich aspektach ich używania jak robienie zdjęć z ukrycia, nagrywanie filmów i tak dalej. Dla mnie to rzeczy mało ważne. Co mnie przeraża, to ich funkcjonalność.

Czy tylko mi się wydaje, że dostęp do Sieci nie powinien być zbyt łatwy? Jeśli dotąd, stając u bram Internetu, czułem się jak jaskiniowiec w McDonaldzie (więcej, więcej informacji!), tak teraz, z Glassami, kim jestem? Jaskiniowcem przy szwedzkim stole chyba.

Sieć nas uzależniła. Podczaszkowa galareta domaga się coraz większej ilości, coraz bardziej różnorodnych i coraz szybciej dostarczanych bodźców. Jeśli na Twoim biurku stoi laptop – kiedy ostatni raz sprawdziłeś fejsa? Dwie mi-

nieznany język jego i przeznaczenie. Ktoś złośliwy mógłby rzecz, że cała książka ma pokazać, jak wiele rzeczy musi ów status „nieznany” zachować. Narrator, wraz z kilkoma naukowcami, próbuje złamać zaszyfowaną wiadomość. Jest to jednak tylko tło dla jego rozmyślań – o naturze Nadawców, o możliwościach ludzkiego poznania, o możliwości Kontaktu wreszcie. Ponury jest wynik tych rozważań, z których wyłania się obraz człowieka, który w konfrontacji z Tajemnicą nie ma najmniejszych szans.

Ludzie często podziwiają różnych pisarzy za wspaniałą zdolność do konstruowania misternych intryg i fabuł. Jest to przyczyną niejkiej inflacji podziwu, tak, że braknie słów, by opisać Twórców najwybitniejszych, jak Lem właśnie. Powstrzymam się od wydawania o Nim jakichkolwiek opinii, a skupię się na faktach: „Głos Pana” to książka napisana przez lekarza, która z powodzeniem mogłaby być sprzedawana jako dzieło matematyka. To książka, w której kolejni bohaterowie strzelają do siebie nie ołowiem – a ideami. A każda z tych idei jest uargumentowana, naukowo poprawna i wstrząsająca (posthumanizm to wcale nie jest nowy temat, jak się przekonałem, Lem opracował go już w latach sześćdziesiątych) Każda zaś z postaci –

nutny temu? Czy tylko ja, żeby się skupić na pracy, muszę wyciągnąć wtyczkę modemu z gniazdka? Czy tylko ja łapię się na kilkunastominutowych black-outach, kiedy przeglądam idiotyczne strony kwejko-podobne lub wykonuję podobnie rozwojową czynność? Czy tylko ja mam problem, żeby na kompie przeczytać dłuższy tekst?

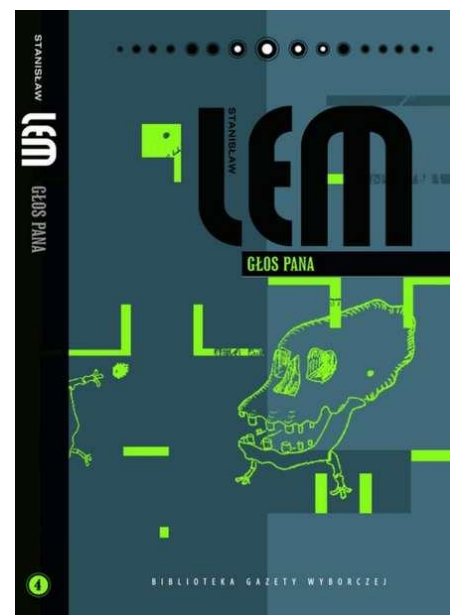
A teraz wyobraź sobie, że uzależniasz się od Informacji nie tylko w czasie wolnym – ale na okrągło. Okulary na nosie, tak łatwo, jeden ruch, kilka słów i już: *OK Glass, open Facebook*. Kto się oprze? I im więcej czasu z tym urządzeniem ryjącym neurony – tym bardziej fizyczna struktura umysłu ulega odkształceniu i tym trudniej się uwolnić.

A poczekajcie na Google Lenses day & night.

Vincent

wiarygodna i opisana z wnikliwością godną psychoanalitka.

To jakby zebrać kilkadziesiąt artykułów popularnonaukowych, esejów fantastycznych, anegdot i rozważań filozoficznych – i upchnąć je w jeden spójny, przejrzysty dziennik. Tym jest właśnie „Głos Pana” – jednym z najlepszych dań, jakie kiedykolwiek zaserwowałem swojej korze czołowej. Polecam.



Vincent

Czerwony błazen

Jaki może być pierwszy znany nam polski kryminał? Porywający, pełen zwrotów akcji, zaskakujący? A może nudny, niedzisiejszy, napisany trudną do zrozumienia archaiczną polszczyzną? Przede wszystkim: czy warto poświęcić mu chociaż chwilę uwagi? Żeby odpowiedzieć na te pytania, trzeba przeczytać „Czerwonego Błazna” autorstwa Aleksandra Błazejowskiego. I zaręczam – nie będziecie zawiedzeni po lekturze tej niezbyt grubej książki. Nie będziecie też mieli problemów z jej zdobyciem, ponieważ mamy to szczęście, że w zeszłym roku, po prawie 90 latach od napisania, ponownie ją wydano w ramach serii „Kryminały przedwojennej Warszawy”.

Bohaterem książki jest tytułowy Czerwony Błazen, występujący w kabarecie Złoty Ptak. Ale kim jest naprawdę? Tego nie wie nikt – nawet sam dyrektor, który ma z Błaznem jedynie tajemniczy układ. Jaki? Tego wam nie zdradzę. Wszystko jest ładnie i zabawnie, aż do czasu... kiedy w jego garderobie zostaje znaleziony martwy człowiek. Wtedy zaczynają się gorączkowe poszukiwania Błazna przez policję i łaknących sensacji dziennikarzy. Dochodzeniem kieruje

doświadczony komisarz Borewicz (jakieś skojarzenia z PRL-owskim serialem „07 zgłoś się”?), który w ogólnym rozrachunku okazuje się jednak bardziej zarozumiały niż utalentowany.

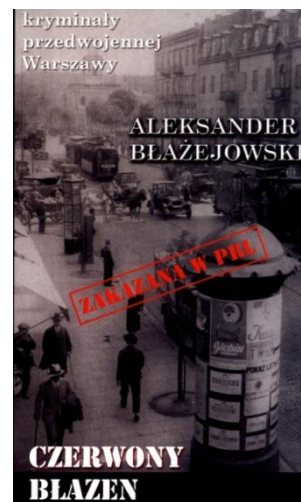
Błazejowski nie zaniedbał też wątków pobocznych, które są rozbudowane, ale nie na tyle, żeby były problemy z ich zrozumieniem. Są też bardzo zgrabnie połączone z wątkiem zabójstwa. Stale pojawiają się nowi podejrzani i nowe dowody. Do samego końca nie poznamy tożsamości mordercy, nie dowiadujemy się dlaczego zabił i kim u licha jest słynny Czerwony Błazen?

Na koniec jeszcze garść ciekawostek o Aleksandrze Błazejowskim i jego dziele:

- Jego książki, a w szczególności „Czerwony Błazen”, były w PRL-u zakazane, nie można ich było wydawać, a istniejące egzemplarze były usuwane z bibliotek publicznych.
- Aleksander Błazejowski był w 1940 roku aresztowany i wysłany w głąb ZSRR i najprawdopodobniej zmarł w łagrze w Chersoniu; druga wersja

mówi, że został zamordowany w tymże roku przez NKWD.

- Obecnie jego rodzina mieszka w Australii.
- Jego książki są wznawiane od 2012 roku w serii „Kryminały przedwojennej Warszawy”, a „Czerwony Błazen” był bonusem w pakiecie „Zbrodnia doskonała” na Bookrage.org (i ja ją tą drogą nabyłem, o czym przeczytasz niżej).



drzewo148

BookRage – zapłać za książki tyle, ile chcesz

Czy myśleliście kiedyś o tym, żeby zapłacić za książkę tylko tyle, ile chcecie? Czy nie uważacie, że ebooki powinny kosztować znacznie mniej od wydań papierowych? Przecież ich wydanie jest o wiele tańsze. A co, jeśli by połączyć te dwa pomysły w jeden? Co wtedy powstanie? Odpowiedź jest od niedawna znana – przynajmniej na polskim rynku – jest nią strona BookRage.org. Jednak, jako że pomysł nie jest zwykły, nie jest też to zwykła księgarnia.

Nie ma stałej oferty, a książki nie są sprzedawane cały czas, nie są też sprzedawane pojedynczo. Pojawiają się w tematycznych pakietach (na razie cała akcja odbyła się dopiero dwa razy), i można je kupić jedynie przez pewien okres (ostatnio były to dwa tygodnie). Nie ma stałej ceny pakietu ani ceny minimalnej. Każdy płaci tyle ile uważa, a ponadto może zaznaczyć, jaka część kwoty idzie do: autora, BookRage oraz Fundacji Nowoczesna Polska, która wspiera tę akcję. Książki pochodzą od nieznanymi szerzej autorów, a często zdarzają się również perełki. Ostatnio

był nią pierwszy polski kryminał napisany w dwudziestoleciu międzywojennym – „Czerwony błazen” Aleksandra Błazejowskiego.

Może się wam wydawać, że jeśli nie ma ceny minimalnej to ludzie będą wszystko kupować za przysłowiową złotówkę. Tak się jednak nie stało, chociaż średnia wpłata jak na taką ilość książek (osiem) nie była zbyt wysoka – wahała się cały czas około 22 zł. W tej akcji są też bonusy. Pierwszy z nich był dostępny dla każdego wpłacającego powyżej średniej (co oczywiście uczyniłem) i była nim książka Szczepana Twardocha – „Zimne Wybrzeża”, natomiast drugi i trzeci bonus dotyczyły przekroczenia pewnej ilości kupujących. I o ile pierwszy próg został przekroczony bez większych problemów, to drugiego niestety nie udało się osiągnąć. Piszę niestety, ponieważ były to nigdy nieprzetłumaczone na język polski opowiadania o Sherlocku Holmesie pióra sir Artura Conana Doyle’a, tzw. Apokryfy nie zaliczane do kanonu

ze względu na ich prześmiewczy i autoironiczny charakter.

Przy tym projekcie pojawia się pytanie: jakim sposobem organizatorzy nie dokładają do interesu, a nawet udaje im się uzyskać sponsorów na nagrody (były nimi dwa Kindle)? W sieci znalazłem wywiad z jednym z twórców BookRage.org, który został przeprowadzony po zakończeniu sprzedaży pierwszego pakietu. Dziennikarz zadał tam pytanie podobne do postawionego przed chwilą przeze mnie. Odpowiedź brzmiała mniej więcej tak, że udaje im się wyjść na niewielkiego plusa, który wtedy wyniósł kilka tysięcy złotych.

Osobiście oceniam tę inicjatywę bardzo pozytywnie i z ciekawością będę obserwował jej rozwój. Mam jednocześnie nadzieję, że klienci pozostaną nadal tak uczciwi i dosyć hojni, jak to było do tej pory. Nie można pozwolić, żeby tak świetny projekt upadł przez zwykłą ludzką zachłanność i pazerność.

drzewo148

Nie samymi Felixami człowiek żyje: RPG-bohaterem być

Marzyliście kiedyś o dalekich podróżach? O przygodach rodem z ulubionych książek, o tym, aby stać się jednym z nieustraszonych bohaterów? To wszystko jest na wyciągnięcie ręki! I wcale nie kosztuje dużo. Nie wierzycie? Posłuchajcie o grach RPG.

Role Playing Game, czyli w dosłownym tłumaczeniu „gra odgrywania ról”. Skojarzenia z teatrem? Jak najbardziej prawidłowo, ale ideę najłatwiej wytłumaczyć na podstawie gry komputerowej.

Wyobraźcie sobie więc rozbudowaną grę komputerową. Możliwości interakcji bohaterów gry z otoczeniem są w zasadzie nieograniczone. Każdą rzecz można obejrzeć, każdej dotknąć. Można porozmawiać z każdą napotkaną postacią, a jej opcje dialogowe nie są ograniczone do ledwie kilku zdefiniowanych uprzednio odpowiedzi. Brzmi dobrze, prawda? Otóż gry RPG tym właśnie są. Tylko, że bez udziału komputera. Dialogi, postacie, tła oraz realia generuje prowadzący, zwany mistrzem gry. A grafikę i waszych bohaterów – wasza wyobraźnia.

Wchodzicie do ciepłego wnętrza karczmy, wypełnionej tego wieczoru podróżnymi i miejscowymi. Pomieszczenie jest zatłoczone, zadymione i duszne. Tłok spowodowany jest występami wędrownego barda, który przygrywa na harfie, siedząc rozparty na dębowej ławie pod ścianą. Z odległego kąta znad kufli typie na was nieufnie grupka krasnoludów. Zdaje się, że tylko oni zwrócili uwagę na wasze przybycie...

A tak naprawdę, siedzicie z grupką znajomych w wygodnych fotelach. Stół zavalony jest kartkami, ołówkami, kostkami do gry wszelakich kształtów, co najmniej jednym dużym tomiszczem i laptopem, z którego płynie cicha, nastrojowa muzyka, taka jak z filmów fantasy. Słuchacie uważnie tego, co opowiada wam mistrz i kombinujecie jak tu okraść tego zamożnego kupca siedzącego przy gąsiorku wina... Rzeczywistość nie ma znaczenia.

Tak mniej więcej wygląda standardowa sesja RPG.

Realia są dowolne: od klasycznego fantasy, poprzez science-fiction, horror, kryminał, światy realistyczne z elementami historii, romansu, na wojnach produktów spożywczych kończąc.

Zasady takiego świata możecie ustalić sami, lub skorzystać z licznych systemów RPG takich jak np.: Dungeons & Dragons, Świat Mroku, Cyberpunk czy Zew Cthulhu.

Trudno jednoznacznie stwierdzić, kiedy powstały pierwsze gry RPG. Ludzkość od zawsze miała zamiłowanie do rozmów, opowieści, snucia historii nieraz opowiadanych za pomocą przedstawień. Z pewnością samo zjawisko nie jest nowe. Nie ma za to żadnych wątpliwości co do tego, kiedy powstał pierwszy prawdziwy system RPG. Był to sławny Dungeons & Dragons, w 1974 roku. Gra powstała jako twórcza modyfikacja systemu bitewnego Chainmail, za którą wzięło się dwóch fanów literatury fantasy: Gary Gygax i Dave Arneson. Gra okazała się hitem, i w USA do lat osiemdziesiątych stała się bardzo popularna. Do tego stopnia, że zaczęła wzbudzać kontrowersje. Trudno by było inaczej, skoro w dosyć konserwatywnych Stanach Zjednoczonych spora grupa młodych ludzi, zamiast jak wszyscy ich rówieśnicy, grać w baseball, football czy ścigać się samochodami rodziców siadała nad jakimiś notatkami, i w półmroku mówiła coś o magii. Sprawy nie poprawiał fakt, że w jednym z wydań podręcznika do D&D ukazały się grafiki przedstawiające możliwe do napotkania w grze potwory... w tym sukkuby, których odsłonięta pierś okazała się być zbyt kontrowersyjna. W latach osiemdziesiątych pojawiły się liczne oskarżenia o związki gier RPG z satanizmem, co oczywiście prawdą nie było, ale wyjątkowo dobrze „sprzedawało się” w mediach. Samym grom RPG to jak widać jednak nie zaszkodziło, bo to właśnie w latach osiemdziesiątych nastąpił rozkwit tego typu rozrywki, a znaczna część istniejących do dziś

systemów posiada swoje korzenie właśnie w końcowych latach tamtej dekady.

Jak wyglądało to w Polsce? Można powiedzieć, że w naszym kraju gry RPG zaistniały dopiero z upadkiem komunizmu. Idea, do tego dosyć niszowa, bardzo powoli przenikała przez żelazną kurtynę. Jednak wraz z jej zniknięciem pojawił się w Polsce prawdziwy wysyp gier RPG. I to nie tylko zagranicznych, takich jak wspomniane D&D czy jego mroczniejszy kuzyn Warhammer. Polscy twórcy, czerpiąc z zagranicznych wzorców, opracowali kilka własnych gier RPG, które zdobyły sobie niemałą popularność (Kryształy Czasu, Neuroshima).

Czy gry RPG przynoszą jeszcze jakieś korzyści, prócz wspaniałej rozrywki i ciągle powiększającej się kolekcji kostek? Owszem. Tutaj nie tylko postać, ale i gracz może zdobywać i rozwijać nowe umiejętności. Zabawa ta wymaga odrobiny myślenia i kreatywności, oceny sytuacji i czasami błyskawicznego podejmowania decyzji, od których zależy życie naszej postaci. Wymaga też interakcji z ludźmi, dłuższych wypowiedzi, opisywania i odgrywania. Dzięki temu stajemy się bardziej otwarci i ćwiczymy powyższe umiejętności. Wystarczy umieć je wykorzystać poza sesją.

Jeśli nie gramy w zamkniętym gronie to zyskujemy też wielu ciekawych znajomych, z którymi będziemy mogli wybrać się np. na konwent, gdzie poznamy jeszcze więcej ludzi o bardzo pozytywnym usposobieniu...

Zachęciłam? Więc gdzie zacząć przygodę? Oczywiście można spróbować samemu zorganizować sesję albo poszukać starych wyjadaczy. W każdym prawdziwym klubie fantastyki można znaleźć sekcję RPG. (To do tego stopnia pochłaniające zajęcie, że w niektórych klubach nie robi się nic innego). Także na konwentach odbywają się liczne sesje, choć nie zawsze bywają wpisane w program.

A jak już spróbujecie, to uważajcie, bo to wciąga.

Y-oda & Scorpio

Spotkania forumowe

Konwent to za mało? Chciałbyś spotkać innych fanów FNiN poza ogólnofantastyczną imprezą? Albo postać na jednej nodze w centrum miasta? To nie problem! Co prawda rekordy w ilości userów biją konwenty, zwłaszcza Pyrkon i Polcon, ale jest też sporo innych okazji by poznać forumowiczów.

Jak na razie największym spotkaniem był forumowy wypad na łyżwy w Warszawie w ostatnie ferie zimowe – pojawiło się aż dziesięciu użytkowników z całej Polski. Całkiem miło spędziliśmy czas wspólnie jeżdżąc, nawzajem się przewracając i w końcu spacerując po Warszawie.

Nieco wcześniej, pod koniec września 2012 r., w kilku miastach naraz zorganizowaliśmy wspólne wyjścia do kina na premierę filmu „Felix, Net i Nika oraz Teoretycznie Możliwa Katastrofa”. Mieliśmy okazję do poznania się i wspólnej rozmowy o filmie z osobami, które czytały całą serię. Spotykaliśmy się też na premierze zwiastuna, przedpremierowym pokazie filmu i w niewielkich grupkach podczas akcji promocyjnych w ramach Felixobusu. Inną możliwością są coroczne Targi Książki – krakowskie lub warszawskie.

Zazwyczaj te pierwsze przyciągają więcej osób, ale i w Warszawie zawsze można nas spotkać.

Więc śmiało, jeśli masz ochotę spotkać się z forumowiczami nawet bez specjalnej okazji, wejdź w dział „Konwenty i zloty” na forum, przeczytaj o najbliższych spotkaniach lub załóż własny temat – chętni na pewno się znajdują, a Ty będziesz miał okazję miło spędzić czas i poznać nowych ludzi zafascynowanych Felixami.

Karmel

Dukaja początki

Dochód szesnastolatka? Kieszonkowe wystarczy na pięć wypadów do McDonalda. Albo dwie książki. W każdym razie, mniej niżby ów szesnastolatek sobie wymarzył. Co robi ten młodzieniec? Ano kupuje z obniżką 25%, dwa w cenie jednego oraz nawiedza antykwariaty. Czy to wystarczy? Krótko: Nie. Dalej: konkursy, no ale ileż można wygrać? Jeśli gdzieś zamykają bibliotekę, ten niewyżyty czytelnik pędzi uszczknąć jak najwięcej dla siebie – mimo głosów mówiących o malejącym czytelnictwie, takich przypadków jest zbyt mało by go zaspokoić (nie wspominając już o stanie bibliotecznych woluminów, raczej odpychającym). Pozostaje jeszcze jedna możliwość – akty grabieży – plądrowanie bezbronnych zbiorów ojca lub dziadka.

O tych ostatnich chciałbym tu pisać. A raczej o efektach tych grabieży.

Bo inny, hipotetyczny szesnastolatek, którego dręczą podobne żądze, ale wychowany w innym środowisku (reszta rodziny – nieczytająca), jeśli już wykształca w sobie pasję do poznawania nowych światów, nie ma do kogo się zwrócić z prośbą o wskazanie kierunku. Więc czyta to, o czym usłyszał. A o czym można było usłyszeć w minionym roku? Przykład pierwszy z brzegu: „Zmierch”. Więc czy wybierze w drugiej kolejności? Kolejny tom serii. No, ale seria w końcu się kończy i ten biedak poszuka surogatu. Czyli kropka w kropkę tego samego. Może tylko wampir nie będzie błyszczał (w ramach rekompensaty okaże się jeszcze piękniejszy).

Co z tego wynika? Miałem to szczęście, że kiedy już skończyłem dostępne „Harry Pottery” (młody byłem, piąty tom nie był wtedy jeszcze osiągalny), tata podsunął mi Tolkiena. A potem „Dzienniki Gwiazdowe”. To mnie w pewien sposób uwarunkowało i chciałbym ten kierunek wskazać rówieśnikom. Ale nie będę ludzi karmił nowościami, bo i po co? Od tego mamy „Nową Fantastykę”, Katedrę i inne portale poświęcone wszystkim aspektom fantastyki, a także rzesze bloggerów. Chciałbym pisać o książkach, które teraz zdobyć można tylko w antykwariatach (albo na allegro, ale antykwariaty mają niesamowity klimat, więc polecam jednak poszukać w nich).

Może nawet zainteresuję kilku starszych czytelników, którzy przypomną sobie, czym dawniej się zachwycali i sprawię, że powrócą do książek kurzących się od lat.

Tyle tytułem wstępu.

W międzyczasie pojawiły się serie wydawnicze Solarisu – Archiwum Polskiej Fantastyki i Galaktyka Gutenberga. To dobrze.

Dukajem roku zostało „Science – Fiction”. Powieść idealnie wpisująca się w nasze pojęcie o autorze. Niedaleka przyszłość i od razu głęboka woda. Znowu byłem zauroczony po przereczeniu zaledwie dziesięciu stron. Dukaj ma lat 39 i jest geniuszem. Czy był nim mając lat 19?

„Panie, pobłogosław morderców” to mikropowieść opublikowana w roku pańskim '93 w osiemnastym (2/1993) numerze świętej pamięci Fenixa. Można znaleźć w antykwariacie – cena waha się pomiędzy dwoma a czterema złotymi.

Na sześćdziesięciu trzech stronach jest więcej sensacji i grozy, a mniej Dukaja, niż można by się spodziewać. Punktem wyjściowym jest sprawa seryjnego mordercy w nienazwanym molochu miejskim. Tematyka wiąże się z pierwszymi opowiadaniem autora, jak „Złota Galera”, „Książę Mroku musi umrzeć” czy „Irreharre” – walka dobra ze złem, przy czym zło zdaje się działać od wewnątrz lub ściśle z dobrem wiążąc. W sumie żal, że te wprawki nie zostały wznowione w zbiorze, zbioru opowiadań razem z powieścią „Zanim Noc” też zresztą klasyfikowaną jako groza. Mogłaby być ciekawym doświadczeniem dla kogoś, kto zaczynał od „Lodu” czy nawet „W Kraju Niewiernych”.

Stylistycznie nie jest to jeszcze „Król Bólu”, ale zdania są w charakterystyczny sposób wielokrotnie złożone i wielu zawodowych pisarzy w wieku konkretnym powinno się uczyć od Dukaja, dopiero-co-maturzysty.

Ale Dukajowi nie poświęcono przecież w całości numeru magazynu o pozycji zajmowanej wtedy przez Fenixa – mamy tu więc trzy opowiadania (wszystkie słabsze, choć pisane przez uznanych pisarzy, którym autor „Lodu” nie powinien do pięt dorastać – teoretycznie), kilka felietonów, w tym jeden, bardzo ciekawy, dotyczący martwego już nurtu czy trendu w polskiej fantastyce, mianowicie klerykal Fiction. Warto sprawdzić jak go wtedy postrzegano. Poza tym zbiór miniatur krytyczystycznych. Koniec. Dziwnie mało jak na prawie 200 stron.

Mimo to warto poświęcić te dwa, trzy złote.

Snorri

Wojna o Justina Biebera, czyli krótka opowieść o przemocy

Nie, nie kocham Justina Biebera. Nie mogę nawet powiedzieć, że go lubię; nie jest w moim typie, preferuję rocka i dziewczęcy głosik Justina nie trafia w mój gust. Jednocześnie jest jedna rzecz, która mnie odróżnia od wzoru postępowania w Internecie – nie nienawidzę tego piosenkarza

Założmy, że ostatnie dziesięć lat spędziłeś w dziurze wykopanej w ziemi, kryjąc się przed inwazją zombie, i nie wiesz kim jest Justin. W skrócie: jest to kanadyjski młodociany piosenkarz, który jako nastolatek został zwerbowany przez kompanię muzyczną z uwagi na swój, co by nie mówić, potencjał wokalny. Zdobył spory rozgłos, zrobił karierę śpiewając piosenki o dość przyziemnej tematyce, podbił serca nastoletnich dziewcząt swoją metroseksualną urodą... i wszystko byłoby w najlepszym porządku, gdyby nie to że Bieber nie spodobał się 4chanowi.

Czym jest 4chan? To prawdopodobnie jedna z największych potęg Internetu – potężny blok forów dyskusyjnych (tzw. imageboardów) z własną międzynarodową subkulturą, której wpływy dały początek m.in. ruchowi Anonymous, fenomenowi My Little Pony, bardzo wielu memom internetowym, i z mniej zabawnych przypadków – nienawiści wobec Biebera.

W ciągu ostatnich lat Internet był teatrem działań wojennych rozgrywających się pomiędzy fanami i antyfanami Biebera, podobnie jak przytrafiło się to powieści Jane Meyer. Wedle obiegowej opinii, większość fanów Justina stanowią zakochane w nim nastolatki, jednak mnie znacznie bardziej interesują jego antyfanowie; odnoszę dziwne wrażenie, że odbiegają oni nieco od normy.

Wrogowie JB w ciągu ostatnich lat mieli okazję wyzywać go, pluć (dosłownie i w przenośni), tworzyć wulgarne podobizny, memy internetowe, gromadzić się w grupy deklarujące nienawiść wobec piosenkarza, tworzyć animacje opierające się na wizji jego śmierci, życzyć mu owej śmierci, ciskać w niego butelkami na koncertach, hackować mu strony internetowe... W skrócie – zgodnie z psychologią tłumu zachowywać się jak odrażające bydło i nakręcając spiralę gniewu wobec kozła ofiarnego. O tym, że kruczata antybieberowa nie jest „tyl-

ko takim żartem” to hipoteza postawiona już dawno, jako że nie wierzę w „żarty” gdy przekroczony jest pewien próg przyzwoitości; problem w tym, że nazwa „wojna” nie jest tu całkowicie przenośna. Przykładowo, obok przypadków napaści na Biebera i planów dokonywania zamachów na jego życie, zdarzyło się że trzech nastolatków planowało go zabić. Aha, i wykastrować. I przystąpili do realnego planowania, zamierzając zamordować człowieka oraz okaleczyć jego ciało poprzez wycięcie organów, kompletując broń i szczegółowo pracując nad zamachem, do momentu gdy zostali schwytani przez policję.

Jesteś po stronie przestępców, czy ofiary?

Podsumowując, Justin Bieber stał się ofiarą potężnej kampanii nienawiści, której najlżejszy wymiar to wyśmiewanie i prześladowanie fanów „pedała” (niezależnie od stosunku do homoseksualistów wyzywanie ludzi w taki sposób nigdy nie jest przyzwoite) a najcięższy to działalność przestępcza. Justin Bieber jest ofiarą. Czy winnym?

Drogi Czytelniku, istnieje duża szansa że nie lubisz kanadyjskiego piosenkarza – i doskonale to rozumiem, jako że też nie jestem fanem jego muzyki i nie lubię jego samego. Mamy prawo go nie lubić, ale... mamy prawo też go lubić, zależnie od gustu. Tymczasem istnieje duża szansa, że wmówiono Ci, iż NIE WOLNO lubić Biebera i WYMAGANE jest nim pomiatać; istnieje duża szansa że natknąłeś się w Internecie na memy przedstawiające jego śmierć i cierpienie (a sporo jest takich!).

Założmy, że należysz do grona ludzi, którzy uważają, że ktoś kto popełnił określoną winę zasługuje na takie traktowanie – niezależnie czy jest to Bieber, Ty, twoja matka, córka, siostra, brat, chłopak czy dziewczyna. Pytanie: dlaczego Bieber jest tak znienawidzony, że panuje głębokie przekonanie, iż na tę nienawiść zasługuje?

OSIEM GRZECHÓW JUSTINA BIEBERA (przykładowe odpowiedzi):

1. JB jest "komercyjną" gwiazdą pozabawioną talentu.
2. Fanki JB to "głupie nastolatki".

3. JB to gej (...bardzo łagodne określenie), dziewczynka, lub... hmm... chłopak któremu czegoś brakuje (...bardzo łagodne określenie).
4. JB śpiewa mało ambitną muzykę (!)
5. JB jest zepsutym, bogatym nastolatkiem.
6. JB ma wielkie ego.
7. JB ma „dziewczęcy głos”.
8. JB jest złym wykonawcą.

Każda z tych odpowiedzi może w sobie zawierać ziarno prawdy, każda wystarczy, żeby nie lubić jego muzyki (mnie odrzuca punkt siódmy, jako że nie gustuję w takim wokalu) i każdy ma prawo to robić. I każdy ma prawo o tym pisać.

Istnieje jednak różnica pomiędzy „nie lubić piosenkarza” a „nienawidzić piosenkarza i życzyć mu śmierci/nieszczęścia”. W drugim przypadku istnieją tylko dwie możliwości:

- a) nigdy nad tym się nie zastanawiałeś, ale wszyscy śmieją się z JB i tych którzy go lubią, więc poszedłeś za modnym tłumem – bo fajnie jest nienawidzić!
- b) uważasz że ON NA TO ZASŁUŻYŁ – patrz osiem grzechów.

Problem w tym, że punkt b) jest zupełnie bezsensowny, podobnie jak zestaw ośmiu grzechów Justina Biebera – żaden z nich nie jest szczególnie wyjątkowy.

Mnóstwo ludzi linczuje JB, równocześnie słuchając dokładnie tak samo „komercyjnej muzyki” (w końcu muzyka to biznes, więc siłą rzeczy wszyscy muzycy są „komercyjni”, poza skrajnymi buntownikami i ulicznymi grajkami, nie? PSY od „Gangnam Style” i Lady Gaga są dokładnie tak samo komercyjne jak Justin).

Stereotypowe „głupie nastolatki które słuchają Justina” są często wyśmiewane przez dokładnie takie same „głupie nastolatki” (oczywiście nie sugeruję, że każda nastolatka jest głupia, co więcej – dziewczyny są fajne ;)), które mają często gorszy charakter od kanadyjskiego piosenkarza, większe ego, więcej wad; które są podobnie zepsute i niekiedy – podobnie bogate.

Atak na JB w związku z tym, że jest głupcem to oczywiście głupota. Powszechnie wiadomo – woli jednak dziewczyny.

Pomijam dziwne założenie, że bycie gejem/czarnoskórym/katolikiem/ateistą/Polakiem to coś złego. Podobnie atak na jego płeć. Istnieje takie pojęcie jak „metroseksualizm” – dotyczy ono grupy współczesnych bogatych, wypielegnowanych, zniewieściałych mężczyzn; być może JB do niej należy – podobnie jak wielu jego krytyków...

Atak na JB za śpiewanie głupawych piosenek o podrywaniu dziewczyn, jest o tyle głupi, że często jego autorami są ludzie słuchający dokładnie tak samo głupawej muzyki; jej jedyną przewagą to fakt, że nie tworzy jej aktualnie wyśmiewany piosenkarz... Swoją drogą, co jest złego w piosenkach o podrywaniu dziewczyny? „Mało ambitne”? Czy ten kto tak twierdzi w wolnym czasie słucha jedynie muzyki klasycznej i czyta dzieła filozofów, i to mu daje powód by gardzić prostszą rozrywką? Nie widzę nic złego w „mało ambitnej” twórczości i jestem fanem zarówno Gangnam Style jak i Szostakowicza. Tak, jakby to kogoś obchodziło. Bieber nikomu nie obiecywał, że stworzy arcydzieło. To, że reklamowany jest jako cud świata,

to znak naszych czasów i nic szczególnie wyjątkowego w jego przypadku.

Atak na JB w związku z tym, że jest on zepsutym, bogatym nastolatkiem o wielkim ego jest o tyle głupawy, że podobną charakterystykę można dać BARDZO WIELU innym piosenkarzom, gwiazdom i celebrytom. Zresztą – czy bogactwo i popularność to coś złego? Tworzenie przez Biebera autobiografii i filmu o sobie jest głupie, krytykowanie go za to ma sens, ale Kanadyjczyk nie jest w tym wyjątkowy.

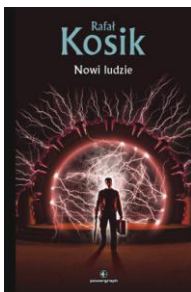
Atak na JB za jego głos jest dokładnie tak samo głupi jak atakowanie Twojej Mamy, Czytelniku, za jej głos. Być może jest przeciętny, może lepszy, może gorszy, być może jest nietypowy. I co z tego? Szczególnie, jeśli okazuje się, że można na tym głosie zarabiać. Swoją drogą, trzeba przyznać że JB ma bardzo czysty głos i umie śpiewać. To, czy jest on „piskliwy i drażniący”, to kwestia gustu.

Podsumowując – nie każdy musi lubić Justina Biebera. Osobiście go nie lubię, ale znacznie bardziej nie lubię ludzi, którzy podążają za rozwścieczonym

tłumem i każą mi go opluwać – nie lubię tego robić i nie będę tego robił. Dlaczego? Bo to niezgodne z moimi zasadami, a co ważniejsze, nie chce mi się i nie widzę w tym sensu. Natomiast linczowanie jakichkolwiek ludzi, życzenie śmierci, cierpienia, i przede wszystkim przygotowywanie tego komukolwiek – jest, w najlepszym razie, niemile, szczególnie że główny bohater tego artykułu, jak wykazałem, nie zasługuje na to... Jeśli ktokolwiek zasługuje.

Poza tym, co kogo obchodzi zdanie innych na temat muzyki jakiej chcesz słuchać? Mnie to nie interesuje, słuchaj sobie death metalu, Biebera, pieśni modlitewnych etiopskiego kościoła prawosławnego, „komercyjnej muzyki” i czegokolwiek, co Ci się podoba. Czytaj „Zmierzch” i oglądaj reality shows, a jeśli gardzisz niską rozrywką i mało ambitnymi piosenkarzami to słuchaj wyłącznie koncertów smyczkowych, popijając czerwone wino i czytając dzieła Cycerona o retoryce. Tylko proszę, nie życz mi śmierci – nie lubię tego.

KamcioKowal



Science fiction, horror i sensacja w jednym. Zderzenie kultury i technologii w społeczeństwach, jakie nadejdą. Niezwykłe, często niepoprawne politycznie, wizje przyszłości. Teksty Rafała Kosika to pełne grozy opowieści, w których nic nie jest oczywiste, a fabuły trzymają w napięciu niczym w najlepszych thrillerach.

Rafał Kosik, *Nowi ludzie*

sklep.powergraph.pl



Dołącz do największej społeczności Fanów Felixa, Neta i Niki!

Bądź na bieżąco z wieściami ze świata FNiN, rozmawiaj na forum, uzupełniaj WikiFNiN, czytaj *Magazyn dla Fanów FNiN!*

Oficjalny FanClub FNiN zaprasza!

www.fnin.eu

Magazyn dla Fanów FNiN numer 1/2013 (6), Polcon '13, 28 sierpnia – 1 września 2013.

Redaktor naczelny: kam193. **Zastępca redaktora naczelnego:** Snorri. **Korekta:** Fileas, Snorri, Magix Slayer. **Skład:** kam193. **Redakcja numeru:** drzewo148, kam193, KamcioKowal, Karmel, Snorri, Vincent, Y-oda. **Gościinne wsparcie:** Scorpio. **Dziękujemy za udostępnienie fragmentów powieści Rafałowi Kosikowi i wydawnictwu Powergraph. Wydanie papierowe:** Powergraph.



Chciałbyś do nas dołączyć? Zapraszamy do współpracy – zarówno stałego dołączenia do Redakcji, jak i okazjonalnego nadsyłania artykułów. Więcej informacji o rekrutacji, o nas i wszystkie dotychczasowe numery znajdziesz na naszej stronie internetowej. Zapraszamy do komentowania na forum lub poprzez e-mail.

www.magazyn.fnin.eu

magazyn@fnin.eu